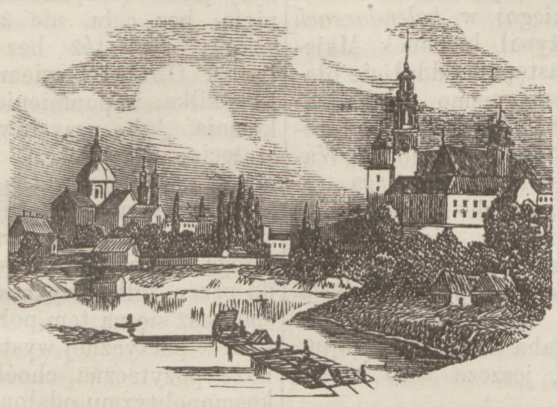
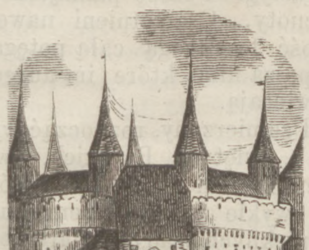
KRAKOWSKIE PODANIA, LEGENDY I NABOŻEŃSTWA.

W nimbusie tradycji, przedstawia się Kraków w naszéj historji, w poezji, w malarstwie, a nawet w muzyce; w owéj to aureoli chcemy go obejrzyć, chociaż nie umiejąc uwić wieńca z legend, liście tylko zbierzemy, rozważając do jakich drzew i kwiatów należą. Studjum nasze nie będzie skończone ani dokładne, szukając dla siebie zalety w tem chyba, że je podejmujemy z chęcią pełniejszego przeglądu i troskliwszego badania. Przyznając sobie poniekąd początkowanie w rodzaju zapatrywania się na niektóre téj kategorji zabytki, nie myślimy ubliżać pracom poprzedników; owszem chętnie i z uznaniem, u wstępu zaraz o nich wspomnimy.


Widok Krakowa.

Najpierw nasuwają się tu na myśl kronikarze nasi, o ile jak Gallus, Baszkon, Kadłubek lub Długosz spisując ogólne polskie dzieje, przytoczyli mityczne tradycje krakowskie. Przy nich stawiamy tych, co je tłumaczyć usiłują, jak: Maciejowski, Lelewel, Bielowski, Mićkiewicz,


Brama Florjańska.

Szajnocha, K. Szulc, Marcinkowski, (pseudonim Nowosielski), Rogawski i innych wielu. Ten dział należy właściwiéj do historji całego narodu; tak jak znowu legiendy o świętych pańskich, związek z Krakowem mających, w martyrologji kościoła katolickiego się znajdą; chociaż z uwagi na ciała uwielbionych spoczywających w kościołach naszego miasta i ze względu na będące w nich cudowne obrazy niemi osnute, przypomnieć się tu godzi jako źródła: Skargę, Jaroszewicza i Pruszcza, że pominę mnóstwo pisarzy, co zostawili pojedyncze żywota świętych krakowskich. Nie mniéj, w téj ogólnéj wzmiance o podnoszących religijną stronę podań, o których mówimy, zanadtozeszlibyśmy do biograficznego wykazu, gdybyśmy nawet takie cenne prace wymieniać mieli, jak artykuły ogłaszane przez E. Iwanowskiego, (pseudonim Helleniusz), lub owe wonne kwiaty ks. Antoniewicza (*Groby świętych polskich*) któremi trumny naszych patronów obsypał.

Ze zbieraczów też przysłów, pieśni, podań ludowych i zabobonów, tych tylko wymienimy, którzy pilniéj tego rodzaju krakowskie właściwości badali, lub je w zupełniejszych zbiorach ogłosili. Więc: Łukasz Gołębiowski, Lucjan Siemieński, (*Podania i legendy*, Poznań 1845 r.), Wojcicki, Lipiński, Józef Konopka (*Pieśni ludu krakowskiego*), Oskar Kolberg, Tańska, E. Schugt, Anczyc *), wreszcie poeci: Fr. Wężyk, Łapsiński, Turski, Liberowna, Wa-


Katedra na Wawelu.

silewski i Lenartowicz, że znów pominę pisarzy jak Józef Kremer i Kraszewski, co użyli nie jednèj legiendy krakowskiéj na ozdobę o-

*) *Patrz w Tygodniku illustr. warsz.* w Nr. 34 (Rękawka), 88 (Konik), 91 (Wianki), w tomie V. szereg obrazów krakowskich. Są nadto w tém piśmie liczne artykuły Grajnerta, tyczące się podań, także Wojcickiego.

brazów swoich. Nie można się tu wreszcie obejść bez wymienienia nazwiska zasłużonego Ambrożego Grabowskiego i Józefa Mączyńskiego, który szczególnie umiłował podania Krakowa, ogłaszając z nich wiele w czasopismach i broszurach osobnych **). Sami też (wspólnie z G. C.) zebraliśmy i wydali (*w Gaz. Warsz.*, z r. 1854 od Nr. 170 do 184) poczet legend krakowskich. Nakoniec trudno przemilczeć zasługi K. Majeranowskiego, z uwagi, iż w wydawanéj przez siebie (od r. 1819 do 1823) *Pszczółce* i w innych dołączanych do niéj pisemkach, pierwszy zbierał, prrzypominał i wskrzeszał różne tradycyjne zwyczaje. Po nim księgarz Józef Czech (wydawca dzieł Grabowskiego i Mączyńskiego) w *kalendarzach* swoich (od r. 1831) odżywił kierunek Majeranowskiego; w czém następnie oddał nie błahe usługi *Przyjaciel ludu*, pismo wychodzące w Lesznie (od r. 1834 do 1850), pod redakcją Ciechańskiego, Szymańskiego, K. Wawrowskiego, a najdłużéj J. Łukaszewicza.

Mimo przecież tak licznych źródeł, tylko pobieżnie tutaj wymienionych, nie mamy dotąd dzieła podejmującego szczegółowo i wyłącznie te krakowskie tradycje, podania, pieśni, przysłowia, zwyczaje.

Że wartość ich nie błaha nawet w życiu powszedniém, dzisiejszém, jeszcze tego krótką uwagą dotkniemy.

Im trudniejsze były dawniéj podróże, im mniéj świat miał takich potęg jak druk, siła pary, lub telegraf, tém ciaśniejszemi drogami szerzył się kosmopolityzm; zaś narodowości, a nawet prowincjonalizmy, bujniéj się krzewiły. Istniały wprawdzie zawsze ogniska ogólno-cywilizacyjne, stolice świata, jak dzisiejszy Paryż lub Londyn; przecież wpływ ich bez lokomotywy i telegraficznego drutu, działał wolno, a pośrednio dopiero przez inne potężne grody, gdzie się prace ludów i narodów składały. Narodowości zyskiwały dla siebie uznanie, wzrost i uwzględnienie nawet w kościele. Zanim się tedy świat ubrał w szatę jednego kroju, wtedy, prócz cech charakterystycznych wyróżniających między sobą narody całe, istniały jeszcze tradycje, obyczaje, zwyczaje i wydatne właściwości okolic, a nawet miast i miejscowości osobnych. Te dziś ocalone, tylko po największéj części u ludu, w książkach, lub wspomnieniach, jak w muzeach zostały. Często są niby tylko zasuszonemi liśćmi w zielniku. Inaczéj też o wielkiéj części podań takich nawet pisać już nie można, tylko w sposób studjów archeologicznych nad zabytkami z przeszłości. Śledząc za szczątkami temi, chodzisz jakby wśród pobojowiska, gdzie krew spłynęła na ofiarę idei, a życie nowe znalazło dla siebie formy i warunki. Jak na owém polu walki, temu już śmierć na zawsze oczy zmrużyła, ów dogorywa jeszcze, a inny dobyty z pośród trupów, z ran się wyleczy lub w kalectwie żywot przeciągnie; tak się ma i z temi zwyczajami, podaniami a obrzędami dawnemi. Jedne z nich giną w życiu, uciekając jakby duchy do kościołów i grobów, inne czają się w zakątkach ruin, inne znów tylko ślady po sobie w książkach zachowują, inne wreszcie ciepłą jeszcze, nie wystygłą pamięć przekazały w tradycjach przerodzonych na nowo, inne nakoniec dopiero w oczach naszych konają, lub się też dla przyszłych odżywiają czasów. Takie zwyczaje, obrzędy, dykcje, przysłowia, właściwości narodowe, prowincjonalne lub miejscowe, choćby nie były pierwszorzędnemi tradycjami, nie istnieją bez celu, nie żyją bez pożytku lub szkody, ani też bez przyczyny marnieją i giną. Obrzęd bowiem odbywany przez wieków kilka, wspomnienie przekazywane na pokolenia, lub przysłowie powtarzane przez stulecia całe; nie są, że tak powiem, własnością czyjąś prywatną, ani należą do dnia lub roku jakiego, raczéj zwać się je godzi duszą ruiny, zabytkiem przeszłości, nauką, przestrogą, symbolem prawdy, lub moralną zasadą przez kilka wyznawaną wieków. Nieraz spotkasz się na tem polu z faktem historycznym w poetycznéj wystawionym barwie; a zawsze pożyteczna choćby na chwilę płaszcz kosmopolityzmu odsłonić, aby się tym ozdobom narodowéj szaty przypatrzyć.

Pobieżny przegląd, nieledwie rejestr tytułów i treści tych podań, wykaże jak bogaty zasób tego rodzaju skarbów dochował nam Kraków; ile jeszcze zostało w nim dawnych tradycji i zwyczajów żyjących. Możemy za Kraszewskim powtórzyć: iż piękném jest w Krakowie religijne poszanowanie przeszłości, zamiłowanie jéj nie ostygło i cześć pamiątek do staréj budząca cnoty. Osamotnieni nawet pracownicy, urość tam mogą całą potęgą wieków stojących po za nimi, które im aureolą swoją drogi rozświecają.

Przegląd zamierzony, rozpocząć wypada od wzmianki o świętych Pańskich, związanych z Krakowem życiem przebytém wśród murów jego. Nie zwykle barwny wieniec uwićby się dał z tych pięknych tradycji martyrologji polskiéj. I tak, z kościołkiem św. Wojciecha, ze Skałką i Wawelem, a wreszcie z laskiem Sikornika, mogiłą Kościuszki i zwierzynieckim klasztorem, złączyły się legendy o św. Wojciechu, św. Stanisławie, Prandocie i św. Bronisławie. Znów o św. Florjanie na Kleparzu, są podania, o św. Jacku w dominikańskim klasztorze, o św. Jadwidze (szląskiéj) u krucyfiksu na Wawelu; zaś o św. Janie Kantym w kollegjum Jagiellońskiém i w akademickim kościele. Świątynia N. M. Panny chlubi się mansjonarzami swymi, błogosławionym Świętosławem ze Sławkowa i Szymonem Białogórskim (Albimontanus) z Kaszub. Kościół Bernardynów ma zwłoki św. Szymona z Lipnicy, konwent Franciszkanów ciało św. Salomei,

**) Wykaz tego co wydał Mączyński, ogłosiliśmy w warszawskiéj *Encyklop. powsz.* (XV. str. 916).

klasztor augustjański zwłoki Izajasza Bonera i Baryczki, a Stanisława Kaźmierczyka są u Bożego Ciała. U Marków spotkasz się z postacią Michała Giedrojca; zaś trudno i zliczyć wielu takich świętobliwych jak Barbara Langie (w kościele św. Barbary) lub dominikańscy uwielbieni, z których ciał zyskał ten kościół jakby podwaliny świetne, dość wspomnieć imiona: Eleonory Lubomirskiéj, kasztelanki wojnickiéj, Beaty, Barbary Dembińskiéj, kasztelanki krakowskiéj, Katarzyny Białuszyny z Melsztyna, Eufrozyny księżniczki oświecimskiéj, Anny Wierzbowskiéj, Stanisława Kokoszki, Michała laiczka, Jakóba z Bydgoszczy, Pawła z Krakowa, zakonników: Wacława, Bogusława, wreszcie uczniów św. Jacka: Hieronima i Jana. Siejkowski (*Świątnica*), Nowowiejski (*Phaenix*) i Pruszcz (*Klejnoty*, *Forteca*), dostarczają o nich bogatego zasobu ślicznych legend, dotąd nie podniesionych należycie, ani pokazanych w całym blasku, jakim niezaprzeczenie jaśnieją. Ma wreszcie akademja Jagiellońska, prócz patrona Jana z Kęt, jeszcze wspomnienia o świętych nauczycielach i błogosławionych wychowańcach swoich, o takich: Grzegorzach z Sambora, lub ascetach jak ów Jan Nicz ze Lwowa, albo ks. Wojciech Dąbrowski, przepowiadający Sobieskiemu zwycięztwo i sławę. Dość powiedzieć, że w Krakowie, są trumny ze zwłokami większéj połowy ogólnego pocztu wszystkich polskich świętych i błogosławionych. Legendy o nich związały się nieledwie z każdą miasta ulicą.

Jeszcze wyraźniéj uwydatniałaby się ta historyczno-religijna strona Krakowa, gdybyśmy opowiedzieli legendy cudownych obrazów, lub dzieje owego mnóstwa relikwji uwielbionych, którymi pobożna przeszłość przepełniła kościoły. Gdybyśmy wreszcie przytoczyli początki wielu świątyń, jak owe podania o powstaniu murów: Bożego Ciała, Augustjanów, Karmelitów, Bożego miłosierdzia, św. Wojciecha, św. Florjana; lub takie tradycje jak opowieść o budowaniu wieży marjackiéj, stwierdzaną nożem dotąd w Sukiennicach wiszącym, albo o sprawach czartów wojujących, wśród nocnéj zamieci u wrót téj świątyni. To znowu na całe już powieści starczyłoby materjału, gdyby się brało w ręce takie oto szable i okowy, jak te, co wisząc przy ołtarzu w kościele św. Jana, nawodzą na myśl niewolą jassyru. Nie mało też zebrałoby się wdzięcznych podań, przywodzeniem podobnych opowieści jak rzecz o Twardowskim, o zaklętych rycerzach we wnętrzu wawelskiéj góry, o Panieńskich skałach pod Wolą Justowską, o dziwach w Krysztoforach, o głowie w izbie senatorskiéj na zamku, o Grodzisku, Zabierzowie, Krzywosądzie, Zimnym dole i Pieskowéj skale, o Piotrze Duninie, założycielu kilku krakowskich kościołów, o początku żup wielickich, o Tyńcu, o królu Łokietku w Ojcowie, o Kaźmierzu Wielkim i wójcie z Łobzowa, o Wierzynku, o mogile Esterki, szaréj kamienicy, o krzyżackich brodach (Szajnocha, szkice I. 149), wreszcie o grajku u św. Salwatora, lub o płaszczu królowéj Jadwigi, którym otulała tonącego kotlarza (patrz *Przyjaciel ludu* IV., 383); że już zupełnie pominę podania o Krakusie, smoku, Wandzie, jako należące do ogólnych dziejów.

Alboż nie miejsce przywieść tutaj i owe liczne wota złożone na ołtarzach i przechowane w skarbcach, ów kielich św. Jadwigi, włócznia św. Maurycego za berło Piastom służąca, miecz złamany z wygaśnieniem rodu Jagiełłów, koronacyjne płaszcze, strzały tatarskie, tureckie z pod Wiednia buńczuki, pałasze z pola bitew i trofea zwycięzkie!

Nawet wody mają tu podania swoje, jak owe studnie: św. Szymona z Lipnicy, Jana Kantego, Wojciecha, lub św. Stanisława sadzawka. Na kamieniach też szuka lud śladów po ukochanych postaciach, widząc je w stopie Jadwigi wyciętéj na głazie narożnym, w karmelitańskiéj kaplicy, na Piasku, lub też w poręczy przy baszcie Lubrance, gdzie także o téj królowéj czepia się opowieść.

Nie opowiadamy tutaj tych wszystkich podań, ale zaledwie wymieniliśmy ich tytuły. Są one bowiem albo powszechnie znane, albo tak przyrośnięte do miejscowości, że się prawie od niéj oderwać nie dadzą. Legendy, to niby rosa na kwiatach, u ich kielichów świetnych perłami wisząca, zbierz ją w flaszeczkę, a uzyskasz wody trochę. Nie zwykliśmy tedy odłączać tradycji od tła, do którego przylgnęły; a więc nie chcemy ich podawać w rozłączeniu z budowlami lub miejscowościami do których należą. Nie myśląc używać legend jako kunsztownych perfum, wolimy, aby pozostały wonią tych kwiatów na których się zrodziły, dla tego opowiadamy je zwykle tam, gdzie się przyczepiły same; a zatém przy opisach kościołów i starożytnych budowli, gdzie służą ku ozdobie a ożywieniu zamarłych pomników.

Do charakterystyki owéj obyczajowo-religijnéj strony Krakowa, o któréj co dopiero mówiliśmy, należą nadto liczne nabożeństwa obchodzone po kościołaah uroczyście, oraz procesje wspaniałe.

Nim się też jeszcze ptak ze snu zbudzi w nadwiślańskich gajach, już latem *Hejnały* brzmią z marjackiéj wieży, a dzwony do świątyń zwołują. Zimą także nawet o najwcześniejszéj porannéj porze, na primarji w kościele NM. Panny ludu pełno, zaś w Grudniu w czasie odprawianych roratów, nie przeciśniesz się przez tłumy zapełniające tak obszerną świątynię; dziwnie wtedy uroczystą, gdy modlący się mnóstwo świeczek w jéj ciemnych głębiach zapalą. O tych to wczesnych jutrzennych chwilach, każdy już klasztorny kościołek brzmi modlitwą; a do niejednego głodny ubogi kołacze, dla którego nigdy jeszcze mnichom, co sami żebrzą, zasiłku nie brakło. Poważnie też uroczyste są wieczorne na-

bożeństwa w kościele NMPanny, przypadające w czasie większych świąt Matki Boskiéj, w ostatni dzień zapust i w wielki czwartek, gdzie się po trzech kazaniach już pod noc gromadzi lud przed Ogrójcem, w owym średniowiecznym zaułku między kościołem św. Barbary a świątynią marjacką. Inne także kościoły miewają wieczorne nabożeństwa, jak u ks, Franciszkanów na zakończenie roku, lub u św. Anny procesja w oktawę św. Jana Kantego, z towarzyszeniem grona professorów szkół i uniwersytetu; lub śpiewanie rożańca u Dominikanów. W czasie wielkopiątkowego znów zwiedzania grobów, ogromieją ułudnie świątynie krakowskie, rozjaśnione tysiącem świateł. Procesje od kościoła do kościoła, do grobu Pańskiego licznych bractw w średniowieczne przybranych stroje, przechodzą wtedy po mieście. Około 6téj wieczorem w wielką Sobotę uderza Zygmunt z Wawelu, a za nim wszystkie dzwony Krakowa, zwiastują Zmartwychwstanie Pańskie. Trudno wtedy o piękniejszy widok nad ten, jaki przedstawia świątynia NMPanny płonąca wśród ciemnéj nocy mnóstwem świateł, a gorejąca prawie na tle wspaniałego rynku. Nie mniéj uroczyste są nabożeństwa w tydzień zaduszny. Już bo-bowiem wtedy gdy w wilją dnia zadusznego po uroczystości Wszystkich św., zwraca kościół modły od uwielbionych do świeżo pomarłych, zapalają światła na grobach; a następnego dnia tłumnie gromadzi się lud na cmentarz. Odwiedzają też Krakowianie mogiły swoich, w drugi dzień Wielkiéj nocy; odrywając się niejako od uczty świątecznéj, aby ją skończyć modlitwą na cmentarzu. Święto Zmartwychwstania Pańskiego, w którém się jednoczymy w miłości, pięknie się tu łączy ze wspomnieniem tych, co już z nami rodzinnego wesela dzielić nie mogą.

W wielkanocny także poniedziałek, na pamiątkę spotkania się apostołów ze zmartwychwstałym Chrystusem, obchodzą krakowianie *Emaus*, idąc tłumnie na Zwierzyniec i mogiłę Kościuszki. Zwyczaj ten jakkolwiek bardziéj katolicki niż miejscowy, przecież nie wszędzie się dochował. Ma go Kraków wspólnie z Poznaniem, gdzie chodzono dnia tego do kościoła św. Jana za Środką; a zapewne i w innych miastach bywała taka pobożna pielgrzymka, jak skoro i zagranicą się z nią spotykamy, widząc np. lud Pragi wychodzący tego dnia na *Morani*, chociaż ten czeski zwyczaj w bliższym zostaje związku z naszą Rękawką, niż z chrześcjańską pamiątką.

Pominąwszy wigilją Bożego Narodzenia, obchodzoną jeszcze w Krakowie wieczerzą, którą po staremu urządzają; ani też nadmieniając o owych częstych stosunkach z kościołem obdzielającym parafjan już to wodą święconą z cierniem (w wielką sobotę), palmami (w niedzielę kwietnią), gromnicami (w uroczystość Oczyszczenia NMPanny), winem (w dzień św. Jana Ewangelisty), zielem (w uroczystość Wniebowzięcia NMPanny), jabłkami (na św. Bartłomieja i św. Mikołaja), solą i bułeczkami (na św. Agatę), darami Trzech Królów, opłatkami, etc.; przypomnimy jeszrze to wrażenie niezwykłéj uroczystości, jaką się Kraków odznacza w dzień świąt Bożego Narodzenia i Wielkiéj Nocy. Wszędzie uderzy cię wtedy charakter katolickiego, średniowiecznego miasta. Zygmunt z Wawelu odzywa się w owe chwile, swoim wymownym głosem. Ustaje handel wszelki i milkną sprawy powszednie; a znać w mieście, że tylko modlitwa i uczta w gronie rodzinném, każdego zajmuje. Więc w wilją łamanie się opłatkiem z życzeniem *Dosiego roku* i msza pasterska; zaś w samo Boże Narodzenie brzmią pieśni kolendowe nutą krakowiaka, wesołe śpiewki towarzyszą szopkom, po klasztorach kołyski nowonarodzonego huśtają, a dzieci bawią się *sadem*, owym chojczakiem ustrojonym w jabłka, błyszczącym zapalonemi świeczkami. Ten ostatni obyczaj zarówno u nas, jak w Niemczech, a nawet w Skandynawji znany, podług K. Szulca *(O bałwochwalczych uroczystościach ludu naszego.* Poznań, 1857), Thracko-illirskiéj mitologji ma być zabytkiem. Jest to zapewne wspólne wszystkim ludom przypomnienie tym zielonym krzakiem nadziei o wiośnie, wtedy gdy mimo narodzin Zbawcy i świtania betlejemskiéj gwiazdy, jeszcze pod lodem i śniegiem śpi martwa przyroda, gdy radujący się moralnie człowiek, tęskni za Majem i życiem wśród pól.

Gdy ostatnie dnie zapust kończy *cąber i popielcowe przypinanie klocków*, sama już Wielkanoc przynosi z sobą prócz polskiego święconego, jeszcze inne znów zabawy jak *Rękawkę*, lub *Dyngusy*, inaczéj *śmigusami* zwane. Powiemy o tych zwyczajach, wspominając o obchodach świeckich; teraz zaś nie rozmijając się z myślą podania przeglądu religijnych obrzędów, nadmienimy o wielce także uroczystych chwilach *zielonych świątek*, kiedy mieszkania umajone, a podłogi tatarskiém zielem wysłane. Wtedy jedni tłumnie udają się na odpust i zabawę w lesie bielańskim, inni zaś, jakby na uproszenie łaski Ducha św. sierotom i obłąkanym, odwiedzają z pobożną intencją domy podrzutków i szpitale warjatów.

Dziś przy mszach św. czynią się jeszcze w Krakowie wdzięczne wspomnienia ku pamięci apostolstwa św. Cyrylla i Metodego (9 marca), św. Wojciecha (23 kwietnia), zabicie św. Stanisława (8 maja). Bywają też w katedrze żałobne nabożeństwa, prócz codziennéj mszy św. (Rorate) w kaplicy jagiellońskiéj z fundacji Zygmunta starego, prócz anniwersarzy za królów, jeszcze za kardynałów Zbigniewa Oleśnickiego i Fryderyka; za biskupów: Kromera, Andrzeja Zebrzydowskiego, Bernarda Maciejowskiego, Jana Konarskiego, Macieja i Kaźmierza Łubieńskich, Trzebickiego, Sołtyka,

Szembeka, Załuskiego i innych wielu. Nie ma chwili prawie, aby się tam nie modlono za przeszłość; aby zamilkły w katedrze nabożeństwa zaduszne i psalmy pokutne.

Dodam wreszcie, że pobożni kupcy krakowscy nawet w handlach, magazynach i kontuarach palą lampy przed Obrazami Matki Boskiéj Częstochowskiéj; zaś u figur w bramie florjańskiéj i przed świętemi wizerunkami na kościołach a domach, zobaczysz latem i jesienią o wieczornéj porze, tłumy ludu śpiewające nabożne pieśni. Uderzy cię tam (jak i w owych majowych Hejnałach trąbionych z marjackiéj wieży) nie jedna stara nuta.


Kościół na Skałce.

Może tutaj stosownem byłoby przypomnienie o dawnych mszach św. szesnastowiecznych grywanych na Wawelu, a zarazem dodanie: że Wincenty Gorączkiewicz ogłosił był dwa poszyty (Kraków u Friedleina, 1846 r.), publikacji śpiewów chóralnych używanych w katedrze krakowskiéj. Tu wreszcie nie trącając o smutny odgłos dzwonków za konających, wiszących na kościołach: NMPanny, Reformatów, Dominikanów, św. Anny i św. Florjana, ani też budząc posępnych dźwięków rozbitego dzwonu zwierzynieckiéj wieży, co się na Anioł Pański za topielców modli; radzimy podróżnikowi zwiedzającemu Kraków, wsłuchać się w ową muzykę dzwonów, która już


Kościół Panny Marji.

prócz ustępów w pismach Antoniewicza (*Groby św. polskich*), Kremera (*Podróż do Włoch I.*), Kraszewskiego (*Kartki z przejażdżek*) i Wasilewskiego, tylu pięknym poetycznym utworom dostarczyła wątku. Najharmonijniéj brzmią głosy dzwonów krakowskich, gdy się ich słucha z przeciwnego brzegu Wisły. Zygmunt uderza na zakończenie starego a rozpoczęcie nowego roku, na Wielkanoc, w Boże Narodzenie, w Zesłanie Ducha św., w ważniejsze święta uroczyste NMPanny, w wilją dnia św. Wacława, w uroczystość św. Stanisława, we Wszystkich św., w wilją dnia Zadusznego, podczas procesji katedralnéj na Boże Ciało, wreszcie na otwarcie i zakończenie jubileuszu, w czasie wjazdu do miasta monarchy i pogrzebów biskupów, także kanoników. Gdy grzmi ów potężny Zygmunt, prawie zawsze w chwilach większych nabożeństw, towarzyszą mu wszystkie dzwony krakowskie. Na wieży kościoła NMPanny, jest dzwon *Tenebał*, tak zwany od chwili, w któréj go używano, to jest wtedy, gdy w wielki piątek skonał Zbawiciel (Et tenebrae factae sunt). Słyszący kilkakrotnie przerywane uderzenia tego dzwonu, klękali gdzie ich głos ów zastał. Dzwonienie na Anioł Pański z intencją modłów za ginących na wojnie z tatarami i turkami, oraz za pojmanych w niewolę, dawno ustały.

Wszystkie te wzmianki tutaj przez nas zbierane, nizają się niby paciorki na różaniec, budząc zazdrość, że nie mamy takiego kapłana, coby je ujął we wspaniały obraz, budując *Kraków święty*, jak ów uczony niemiecki ks. Franciszek Bock, co świéżo *das heilige Köln* tak wdzięcznem piórem wystawił, zaśpiewawszy znowu nadreńskiemu miastu starą nutą:

Gaude felix Agrippina,
Sanctaque Colonia,
Sanctitatis tuae bina
Gerens testimonia!


Kościół Bożego Ciała.

Po duchownych także mamy prawo oczekiwać zbioru sprawozdań zestawionych z miejscowych dokumentów, o stanie relikwji w grobach tych świętych, co spoczywają w Krakowie; oraz wykazu i historycznego pochodzenia relikwji posiadanych przez kościoły naszego miasta. Od czasów bowiem Pruszcza, mało kto tém się zajmował. Ze współczesnych może tylko ks. Pawła Rzymskiego wymienićby tutaj przyszło, z powodu dodatku do jego książki *O obrzędach* (wydanie 3cie), gdzie załączył rzecz o relikwjach św. Znajdą się przecież przy nich niezawodnie napisy z bardzo

dawnych czasów, których graficzne cechy mogą dać świadectwo o starożytności zachowania lub sprowadzania do nas tych szczątów, wrażając znów przez to w ogół pobożną pamięć o owych skarbach Krakowa, o tych klejnotach jak je niegdyś nazywali starzy. Zresztą styl ornamentów, pacyfikałów i różnych opraw na szczątki ciał świętych, pomoże do ocenienia epoki z której te zabytki pochodzą. Wtedy bowiem dopiero zyskalibyśmy pełny i skończony obraz pamiątek Krakowa, gdyby każdy kościół naszego miasta zdobył się na taką szczegółową monografię, jaką ks. biskup Łętowski katedrę obdarzył. Ależ.... wróćmy do zadania naszego, kończąc ten przegląd kilkn słowami o procesjach publicznych odbywanych w Krakowie, gdzie jeszcze tego rodzaju obchody są nabożeństwem, gdy za granicą już dawno patrzą na nie, jak na widowiska w teatrze.

Może nam kto uczynić słuszny na pozór zarzut o rozmijanie się z celem wykazywania właściwości krakowskich, wtedy, gdy wspominamy tutaj o procesjach publicznych, należących raczéj do obrzędów powszechnego kościoła, jak uroczystości, któreby miejscowy miały charakter. Co do istoty rzeczy, sprawiedliwą byłaby podobna uwaga, gdyby nie ta właśnie okoliczność, że krakowskie procesje, chociaż wynikają z rytuałów katolickich, przecież tyle zyskały dla siebie świetności od kilko wiekowéj polskiéj stolicy, że się w Krakowie wyróżniają niezaprzeczenie cechami odrębności pewnéj. Dawniéj jeszcze więcéj było w nich owéj stołecznéj świeckości.

Przez tydzień cały kilkanaście takich procesji przesuwa się po ulicach Krakowa, że nie ma prawie stopy ziemi w mieście, po któréjby błogosławiący N. Sakrament nie przeszedł. Katedralna (rano we czwartek), marjacka (po południu w tydzień zakończenia oktawy), dominikańska (w niedzielę z rana), postępują po rynku stając przed ołtarzami ubranemi w sieniach domów dla odśpiewania ewangelji. Procesja św. Trójcy zyskała prawo obchodzenia rynku dla téj tradycji, że parafja miejska pierw istniała w dominikańskiéj świątyni, zanim ją Iwo Odrowąż do kościoła NMPanny przeniósł. Inne procesje, jak z kościołów: Bożego Ciała (po południu we czwartek), od Marków (w piątek), od Augustjanów i od św. Florjana (w niedzielę, od św. Mikołaja (w poniedziałek), od św. Anny i bernadyńska (we wtorek). od św. Piotra i ze Zwierzyńca (we środę), karmelicka i franciszkańska (we czwartek rano), od św. Krzyża (w sobotę), przechodzą po ulicach i przedmieściach. Każda z nich inny ma charakter, bo jéj towarzyszą mieszkańcy z różnych dzielnic miasta i ze wsi należących do parafji z któréj wychodzi. Procesja np. kanoników lateraneńskich z kościoła Bożego Ciała stojącego wśród Kaźmierza, posuwa się tylko po obszernym cmentarzu, nie mogąc się rozsunąć z przyczyny zamieszkałéj tam żydowskiéj ludności. To też zbrojno rozpoczyna swój pochód uroczysty, bo oto rzeźnicy idą na czele z swojemi ogromnemi mieczami, które zyskali za udział w obronie Krakowa przed Szwedem. Jak ów rzeźniczy sztandar eskortują dziś panowie cechowi z mieczami w kwiaty strojnemi, tak dawniéj każdy cech co miał sobie poruczoną do obrony jedną część warowni miejskich, zbrojno przy proporcach stawał.

Procesja z kościoła ks. Dominikanów, obchodząca rynek na Matkę Boską Różańcową (w pierwszą niedzielę Października), należy także do nader świetnych uroczystości kościelnych. Bywa na niéj (równie jak na katedralnéj i marjackiéj w Boże Ciało) po dwadzieścia, a czasami prawie trzydzieści tysięcy ludu; zwykle bowiem dwie połacie rynku, natłokiem zapełniają wtedy pobożni. Przeważa lud wiejski z okolic nawet dalszych przybyły, nadając temu obchodowi znów inny, właściwy charakter, pora też roku zmienia fizjognomją owego pochodu, niezwykle malowniczego, gdy się w późny wieczór rochodzą z rynku w różne strony śpiewające rzesze i bractwa ze sztandarami, dla licznych świateł przedstawiające widok nader oryginalny i piękny.

Wreszcie pominąwszy publiczne procesje z katedry w *dni krzyżowe*, przywieść tu jeszcze wypada pochód z Wawelu na Kleparz (4 Maja) z głową ś. Floryana; zaś w uroczystość św. Stanisława z głową znowu tego krakowskiego biskupa na Skałkę. Pierwszéj procesji towarzyszy tłum żaczków z wszystkich niższych zakładów naukowych i z parafialnych szkółek. Dziatwa śpiewając, odpowiada biskupowi intonującemu litanią.

Stósownie przejdziemy od przeglądu religijnych obchodów do wzmianki o krakowskim ludzie, gdy przypomnimy tutaj jeszcze witanie chleba nowego, ów obyczaj dawny, godny mieszkańców rolniczego kraju.

Pierwszy bowiem chleb, zwykle w Tyńcu upieczony z nowego ziarna, nosił wójt krakowski królowi na Wawel. Wychodził monarcha chlebnéj ziemi, na powitanie daru Bożego aż do wrót. Jeszcze Stanisławowi Augustowi woził burmistrz krakowski co rok na św. Jana bochenek prądnickiego chleba, który w Warszawie odbierał.

Wszystkie krakowskie odpusty, nabożeństwa i procesje nabierają z téj przyczyny niezwykłego uroku, że tłumy nabożnych zwiększa lud wiejski ściągający na nie z najdalszych nawet okolic. W różnych także innych chwilach zaludnia się Kraków przybywającym doń ludem, tak, że mówiąc o właściwościach fizjonomji miasta, trudno przepomnieć i o tym doń napływie; tém ponętniejszym do wzmianki, że mógłby dostarczyć do studjów materjału wielce obrazowego i malowniczego zarazem.

Chłopów z najbliższych pod Krakowem wsi zobaczysz w niedzielę i święta na rynku, gdy

przybywają na nabożeństwa do swoich parafji, jak do Karmelitów na Piasku, do św. Krzyża, św. Mikołaja, a głównie do kościoła NMPanny. Gromadzą się też do miasta w targi we wtorki i piątki, wreszcie przybywają z pogrzebami, lub hucznie z muzyką zajeżdżają na ślnby. Na jarmarkach w sąsiedniém *Podgórzu*, spotyka się krakowska wiejska ludność z podkarpacką. Prócz wreszcie napływów dla odpustów i procesji, ściągają do Krakowa górale zimą, a najpowszechniéj w czasie wiośnianego przednowku. Sprzedają łapki na myszy i drutują potłuczone garnki, a dzieci ich żebrzą. Następnie w końcu Lipca płynie przez miasto lud podgórski na zarobek w żniwa, grając na skrzypkach i karpackich kobzach. Wreszcie po zbiorach, przechodzą tędy ze śpiewem i modlitwą gromady ludu z najdalszych okolic, idące w procesjonalnych pochodach, już to do Częstochowy, Kalwarji, Mogiły, Kobylanki, już też zostające w Krakowie na odpusty św. Jacka, św. Bronisławy, Matki Boski różańcowéj. Wtedy w nader malowniczych grupach zbiera się ów lud przed kościołem NMPanny, zakładając w téj części rynku jakby obozowisko jakie.

J. Łepkowski.

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY WE WŁOSZECH.

List drugi A. E. Odyńca

do pani Aleksandry Borkowskiéj.

(*Dokończenie*).

Być we Włoszech, a nie być w Rzymie podczas Wielkiego Tygodnia, jest to, podług przysłowia: być w Rzymie a nie widzieć papieża; grzech równie nie odpuszczony w oczach ciekawych podróżników, jakoteż w oczach sędziów, którzy ich kiedyś za powrotem do kraju, mają badać i sądzić, jak użyli czasu podróży. To też będąc już w Rzymie, dosyć jest wyjść przed niedzielą kwietnią na gościńce ku miastu wiodące, ażeby się przekonać o natłoku ciekawych pielgrzymów. Mówię ciekawych tylko, gdyż pomimo usiłowań najżywszéj wyobraźni, trudno jest w modnych koczykach, pozłocistych landarach, opakowanych weturach *), przy odgłosie trąbek pocztarskich, lub arji z nowych oper przez weturynów śpiewanych, dopatrzyć, owych dawnych pobożnych pątników, co z brzemieniem tylko swych grzechów, w kapturze i włosiennicy, z kijem w ręku i torbą na plecach, szli piechotą z najdalszych krain, na miejsce powszechnego odpustu, pokutne psalmy śpiewając. Wprawdzie i to powiedzieć trzeba, że ktoby dziś z takiém uczuciem przybył do stolicy chrześcijaństwa, dla obchodzenia najświętszéj w chrześcijaństwie pamiątki; dla zbudowania się widokiem obrzędów w najwspanialszéj na świecie świątyni, przez najwyższego naczelnika wiary odprawiać się mających; jakżeby się zadziwił, zgorszył albo zasmucił, widząc, iż oprócz jednego tylko błogosławieństwa papieża, wielkiego istotnie i uroczystego obrzędu, wszystkie inne zdają się być zamienione na teatralne widowisko, pokazywane za biletami, dobrze że nie płatnemi i przeznaczone jedynie dla zwabienia i zabawy cudzoziemców, po większéj części różnowierców (anglików); a to tak dalece, że żaden rodowity Rzymianin, a cóż dopiero ubogi pielgrzym, biletów tych nawet dostać nie może. Pielgrzym taki, gdyby był z naszego kraju, pożałowałby może nieraz owych prostych, ale pełnych wrażenia obrządków swego parafialnego kościoła, gdzie wszystko w dniach męki Pańskiéj, nosi cechę opustoszałego domu, którego pan leży na marach; owego grobu w ciemnicy, otoczonego ludem pełnym wiary, modlącym się i płaczącym, jakby nad rzeczywistym grobem Zbawiciela; owéj nakoniec rezurekcji nocnéj, gdy z łona grobowego milczenia, przy zmieszanym odgłosie trąb, dzwonów, moździerzy i organów, zabrzmi nagle wesołe „Alleluja,“ rozjaśnią się ołtarze i ściany, a promienne monstrancjum, z grobu wyjęte, zabłyśnie nad ukorzonym ludem, jak widomy symbol zbawienia, wschodzącego dla nas z bram śmierci!....

Nic z tego nie znaleźć w Rzymie. Wszystkie obrzędy odbywają się nie w kościele św. Piotra, jakby się spodziewać należało, lecz w prywatnéj kaplicy papiezkiéj, Sykstyńską zwanéj i w ciaśniejszych jeszcze pokojach Watykańskiego pałacu, zdolnych ledwo pomieścić dzie-

*) *Vettura*, powóz, imie niejako właściwe najemnych karet furmańskich, z półkoczykiem na przodzie i ogromnym koszem ze trzciny, przymocowanym z tyłu, gdzie się zamykają rzeczy podróżnych.

siątą część widzów, tłoczących się jakby na teatr. Nic nie pomogą bilety, przez kardynałów lub posłów zagranicznych dawane; trzymający straż szwajcarowie, w ubiorze z XIV wieku; w pancerzach, pstrych kubrakach, czerwonych pończochach i okrągłych kapeluszach z piórami, odpychają halabardami bez różnicy płci i wieku, tych wszystkich, co albo się już zmieścić nie mogą, lub się im nie podobają z pozoru. Wynikające z tego zgiełk, zamieszanie i często formalne bitwy, mącą na samym wstępie wszelkie religijne uczucie. Szczęśliwy, kto się wedrze przebojem, lub czyhając na wejście którego z kardynałów, uczepi się szat jego i pchając go bez ceremonji przed sobą, ustrzeże się ręki szwajcara, co go zwykle chce schwytać za kołnierz. Myśmy w tém byli szczęśliwsi od drugich i to dość osobliwie, za pomocą kalwińskiego pastora z Genewy. Krewny jego, naczelny dowódzca szwajcarów, dał nam nie mniéj osobliwe bilety: imię swoje napisane na dwójce i trójce żołędnéj, z wyciśnioną na laku pieczęcią. Na widok tego talizmanu, halabardy schylały się przed nami, lub same rozpędzały tłumy nie chcące ustąpić nam z drogi.

Tym sposobem we czwartek o godzinie 6téj rano, dostaliśmy się do kaplicy Sykstyńskiéj. Nabożeństwo zacząć się miało o 7éj, ale nikt na świecie nie potrafiłby zgadnąć niewiedząc, na czem schodził czas oczekiwania anglikom i angielkom, składającym przynajmniéj połowę zgromadzenia: oto na jedzeniu i wzajemném częstowaniu się śniadaniem, którego nie pośpieszyli zjeść w domu. Z worków, z koszyków, z papierków, wychodziły koleją ciasta, bułki, a nawet grzanki chléba z masłem, nakładane wędliną, i znikały pod białemi jak wilcze zębami wyspiarzów, którzy nawet ust chustką zakrywać nie raczyli. Oburzający ten widok, więcéj niż tłok i gorąco, wygnał nas z kaplicy na korytarz, gdzie jak łódź na uwięzi, pochylani ustawnie w tę i w ową stronę ruchem skupionego tłumu, równo z końcem nabożeństwa, uczuliśmy się jak taż łódź porwani strumieniem ciżby i przez różne ganki i korytarze, zaniesieni na wierzch krużganków, otaczających plac św. Piotra, zkąd mieliśmy się przypatrywać błogosławieństwu papieża. Dwa razy ma ono miejsce podczas Wielkiego Tygodnia: w wielki czwartek i w pierwszy dzień święta. Ostatnie jest daleko wspanialsze i uroczystsze i ztąd nosi nazwanie: błogosławieństwa większego (*La benedizione maggiore*) o niém téż wspomnę nieco obszerniéj; zwłaszcza, że w obódwu razach obrzędy są jednakie; a teraz wracam do opisania reszty wielko-czwartkowych obrządków.

Zaraz po błogosławieństwie, następuje umywanie przez papieża nóg pielgrzymom; obrzęd prawdziwie wzruszający, gdyby się odbywał w kościele, a nie w ciasnéj izbie pałacu. Pielgrzymi, w liczbie 13, ubrani w długich, białych sukniach, w jakich zwykle apostołów malują, w wysokich nakształt infuł czapkach, siedzą w półkole, na podwyższonych siedzeniach. Papież, mając za sobą kilku kardynałów, niosących miednicę, nalewkę i ręczniki, zbliża się z kolei do każdego i powitawszy niskim ukłonem, leje wodę na obnażone nogi i otarłszy je ręcznikiem, całuje. Tak mię przynajmniéj zapewniali stojący bliżéj, gdyż sam za tłumem, pocałowania dojrzeć nie mogłem. Pielgrzymi w czasie umywania nóg, zdejmują czapki i zaraz po umyciu, otrzymują z rąk kardynała ogromny pęk kwiatów, przez papieża wprzód poświęconych. Po skończonym obrządku, udają się rzędem do przyległéj sali, gdzie na nich czeka stół zastawiony obficie i uwieńczony kwiatami, którego nakrycie i osobne przed każdym zastawione potrawy i wina, może każdy z nich zabrać z sobą do domu, lub komu się podoba odesłać. Na ten koniec za każdym stoi ogromny kosz, do którego słudzy półmiski i butelki pakują. Jeden tylko z pomiędzy trzynastu, polak, ksiądz Zamojski z Galicji, (gdyż sami tylko księża—kapłani na pielgrzymów wybierani bywają), przypadający na siebie udział, darował usługującym do stołu sługom papiezkim.

Aby wyjść z obiadowéj sali pielgrzymów, chcąc nie chcąc trzeba przechodzić przez drugą, gdzie wszyscy kardynałowie, u jednegoż stołu, jedzą Wieczerzę Pańską. Posągi dwunastu apostołów z lanego srebra, służą za wspólną ozdobę stołu. Zresztą każdy kardynał je osobne potrawy, z własnéj kuchni, na srebrze i porcelanie z własnego swego kredensu, mając za krzesłem dwóch lub trzech służących w liberji i częstując niekiedy przysmakami znajomych sobie widzów. Wszystko to ma pozór pańskiego obiadu, ale nikomu pewno z chrześcjan nie przypomniałoby Wieczerzy Pańskiéj. Jest to ostatnie wielkoczwartkowe widowisko w Watykanie, na które wygłodniali od rana widzowie, cisną się z niezmordowaną ciekawością, jakby się chcieli nasycić zapachem kardynalskich przysmaków. Wyszedłszy ztamtąd, odetchnęliśmy świéżém powietrzem dopiéro o god. 4téj po południu.

Z większém bez porównania uczuciem, widzieliśmy tegoż dnia wieczorem, w klasztorze *Trinita dei Pellegrini*, umywanie nóg siedemdziesięciu prawdziwym pielgrzymom, przez jednego z kardynałów i kilku pierwszych panów świeckich, którzy im sami potém usługiwali do stołu. Klasztor ten z przeznaczenia swojego, obowiązany jest ze składkowych dochodów, dawać pomieszkanie i żywność przez trzy dni wszystkim przybywającym do Rzymu pielgrzymom. Wzruszający był widok ludzi z różnych stron i krajów, po większéj części starców, w ubiorze pielgrzymskim, siedzących u jednego stołu, połączonych braterstwem wiary, ugaszczanych w imię Chrystusa! Wię-



Lud rzymski w świątecznych ubiorach, zgromadzony przed zwaliskami świątyni Minerwy.

czerzę ich składały: makaron, ryby, rozynki, jabłka, chleb, woda i wino. W oddzielnych izbach, gdzie mężczyznom wchodzić nie wolno, pierwsze damy rzymskie oddają równąż posługę pielgrzymkom.

W wielki piątek groby ani tak pięknie przybrane, ani tak tłumnie odwiedzane jak po naszych miastach. Nad wieczorem w kaplicy syxtyńskiéj sławne *Miserere*, wykonywane przez śpiewaków papiezkich. Trudno jest oddać słowami urok téj muzyki wokalnéj; to tylko można powiedzieć, że żadna muzyka na świecie, nie zdołałaby sprawić równie wzruszającego wrażenia. Głosy naśladują doskonale różne narzędzia muzyczne: flet, harmonikę, a niekiedy brzmienie organu. Całe *miserere* nie trwa dłużéj nad 20 minut. Po skończeniu jego, kardynałowie, wraz z ludem udają się procesją do kościoła św. Piotra, gdzie następuje ukazywanie z krużganku relikwji św. Krzyża i chustki św. Weroniki z obrazem twarzy Zbawiciela. Kardynałowie i lud cały, na kolanach cześć im oddają.

W Wielkanoc o wschodzie słońca huk dział i dziwnie wesoły odgłos dzwonów (*en carillon*) po mieście, jest pierwszém odpowiedném uroczystości hasłem. Na wałach zamku św. Anioła, zatknięte białe chorągwie z herbami miasta Rzymu i panującego papieża, powiewają nad drogą do św. Piotra wiodącą i same ją zdają się wskazywać. Mszę św. przy środkowym, wielkim ołtarzu, odprawia zwykle sam papież, siedząc na tronie, twarzą obrócony do ludu; po bokach, podług starszeństwa, siedzą rzędem kardynałowie i biskupi, w pontyfikalnych ubiorach, sześciu z nich w ornatach, służy papieżowi do mszy św. Wspanialszy jeszcze widok z drugiéj strony ołtarza. Cały kościół św. Piotra napełniony ludem!.... który się w nim nawet pomieścić nie może, i widać przez drzwi otwarte, jak z odkrytemi głowami plac i krużganki zajmuje. Po skończoném nabożeństwie, obie massy łączą się z sobą na placu, oczekując błogosławieństwa papieża.

Ktoby chciał choć w najmniejszéj cząstce pojąć wielkość i wrażenie tego obrzędu, niech nie zważa na słowa opisu, ale jakby widział choć rycinę Rzymu, niech sobie wystawi w myśli ów przepyszny plac św. Piotra, z kościołem watykańskim z przodu, z olbrzymiemi krużgankami po bokach, z dwiema najpiękniejszemi w świecie wodotryskami i obeliskiem w pośrodku, zamknięty z czwartéj strony kilkudziesięciu rzędami powozów, napełniony kilkunastu, albo i więcéj tysiącami ludzi, oczekujących z religijném wzruszeniem na ukazasię i błogosławieństwo namiestnika Chrystusowego; a nad tém wszystkiém błękitne niebo włoskie i pogodne słońce kwietniowe! Powietrze drży od gwaru i migoce od blasku. Wtém wgłębi ciemnego okna, nad przysionkiem kościelnym, promień słońca odbił się o coś jasnego i błysnął. W jednéj chwili cichość powszechna; wszystkich oczy w jeden cel wryte! Jasność w oknie powiększa się, wysuwa i jednym razem za pomocą urządzonéj ku temu machiny, ukazuje się nad przysionkiem papież, siedzący na tronie w białych szatach, w tjarze, otoczony kardynałami w purpurze, w półkole stojącymi za tronem. Huk dział, dźwięk dzwonów, odgłos trąb, bębnów i rozstawionych muzyk, zabrzmiały razem, jak piorun i również nagle zamilkły. Papież powstaje z tronu, podnosi obie ręce ku niebu i modli się za lud nad ludem. Cichość, jakby nikogo nie było; wrażenie nie do opisania! W téj chwili nikt zapewne z obecnych nie myśli o różnicy wyznania.

Papież opuszcza ręce i zwracając się na trzy strony, błogosławi „świtu i miastu“ (*orbi et urbi*). Znów działa, dzwony, bębny i muzyka, jak przedtém, zmieszane niespodziane z ogólném rżeniem koni, przerażonych jak widać, tém nagłém przejściem z milczenia do wrzawy, ale które dziwnym sposobem we wrażeniu się ludzkiém odbiło... Cały lud upadł na kolana, w pokorze i w milczeniu, jakby po przyjęciu Sakramentu ołtarza. Papież usiadł na tronie; chwilę jeszcze pozostaje na miejscu; powtarza błogosławieństwo siedzący, usuwa się w głąb okna i znika.

Kto raz był świadkiem téj chwili, na pewno nie zapomni jéj nigdy!

Wieczorem urocze oświetlenie kopuły i kościoła św. Piotra, a nazajutrz wspaniały fajerwerk na zamku św. Anioła, kończą uroczystości świąt Wielkanocnych w Rzymie.

PRZYGODY
KS. MARCINA LUBOMIRSKIEGO.

Według autentycznych źródeł

opowiedział

Władysław Chomętowski.

(*Ciąg dalszy*).

Upłynęło zaledwie kwandrans czasu, kiedy Urszula wróciła z uśmiechem zadowolenia i wskazała ręką aleję, w której znajdował się więzień. Anna spojrzała w okno: w odległości około dwustu kroków od pałacu, z założonemi na krzyż rękami przechadzał się w téj chwili książe Marcin, kiedy żołnierz jego stanął opodal ukryty za drzewami; Anna podziękowała skinieniem głowy służącéj i nie tracąc czasu wybiegła do ogrodu.

Pomimo niepomiernéj chęci widzenia z bliska księcia, Anna zadrżała stwożona spotkawszy się z jego wzrokiem, zarumieniła się i spuściła oczy, ale nierównie pomieszała się więcéj, kiedy młodzieniec zastąpił jéj drogę i przyklękając na jedno kolano zawołał:

— *Adorable et charmante comtesse!* nie mylę się że mam szczęście oglądać w téj chwili słońce tutejszych salonów, jednę z tych gwiazd ziemskich, którym boginie mogą pozazdrościć urody. Jestem Marcin Jerzy książe Lubomirski, kawaler orderu Ṡgo Huberta, były generał woisk pruskich, dziś nieszczęśliwy więzień, sługa i wielbiciel twój *adorable Comtesse*, w tobie jednéj pokładam mą nadzieję, jako w słońcu, które najnędzniejszemu z ludzi użycza swojego światła; nie odmawiaj mi swéj protekcji panno!....

Anna Hadik słuchała z początku szumnéj przemowy księcia, niespokojna i drżąca, zamyślała nawet wycofać się z tego drażliwego położenia, ale w krótce wyraz boleści, malującéj się na jego twarzy i w pięknych wymownych oczach, obudził uczucie litości w jéj sercu, odpowiedziała więc łagodnie:

— W czemże mogę dopomódz Waszéj Książęcéj Mości?

— Racz przełożyć JW. Feldmarszałkowi twemu ojcu, ażeby wniósł za mną instancję do wiedeńskiego dworu, intrygi bowiem rodzinne i złość ludzka trzyma mię dotąd w więzieniu, kiedy na mocy testamentu śp. ojca mojego powinienem być dziś już wolnym.

— Czy mówiłeś Wasza Książęca Mość w tym interesie z moim ojcem?

— Mówiłem i opisałem mu całą sprawę, obiecał wprawdzie zadość uczynić méj prośbie, ale miesiące upływają za miesiącami, a żadnéj pocieszającéj nie odbieram wieści, nie spodziewam się więc pożądanego skutku, jeżeli nie znajdę w osobie twojéj *adorable et charmante comtesse*, protekcji i łaskawego poparcia

— Zdaje mi się że mówiłeś Mości Książę jako przez testament twojego ojca powinieneś być oswobodzony z więzienia?... Rzekła nieśmiałym głosem Anna, poczem rzuciła badawczym wzrokiem na młodego więźnia.

— Tak jest, miłość nieszczęśliwa pozbawiła mię łaski ojca, na którego żądanie uwięziony zostałem, osoba będąca przedmiotem mojéj miłości dziś już nie żyje, czyli umarła już na zawsze dla swiata; śp. ojciec zaś zawarował w testamencie i zaklął na obowiązek sumienia brata, a mego stryja, ażeby mię wypuścił z więzienia, skoro zerwą się nasze stosunki.....

— Nieszczęśliwy! zawołała półgłosem Anna Hadik; poczem dodała jeszcze:

— Możesz rachować Wasza Książęca Mość na moje słowo, że będę przypominać i błagać ojca często, ażeby zajął się waszym losem i wyjednał u cesarzowéj swym wpływem prędsze uwolnienie.....

— Dzięki ci, dzięki tysiączne *adorable comtesse*..... nie zawiodły mię przeczucia od chwili, w któréj ujrzałem cię po raz pierwszy. Twoje oczy, twój uśmiech, nawet dźwięk głosu przypomina mi inną, utraconą już Annę, która była panią mych myśli, i dla któréj żadna ofiara ciężką mi nie była.

W téj chwili oczy ich spotkały się i rumieniec oblał twarz Anny, która po chwili, wodząc na około wzrokiem rzekła:

— Zadługo rozmawiam z Waszą Ks Mością, wkrótce szukać mię będą, bo skoro siostra wróci z kościoła natychmiast zastawią śniadanie.

— Tak prędko odchodzisz już *adorable comtesse*, porzucasz więźnia, który chciał jeszcze chwil kilka cieszyć się twoim widokiem.... O! najpiękniejsza i najlepsza panno, zrób mi choć nadzieję, że spotkanie to nasze nie będzie ostatniém, że uradujesz mię choć raz jeszcze swym słodkim wzrokiem, który mi przypomina dnie utraconego szczęścia.

— Niech Wasza Ks. Mość będzie spokojny, nie zapomnę o jego poleceniu i doniosę mu jutro.... na tém miejscu..... w ogrodzie, jak mój ojciec uważa tę sprawę, rzekła wzruszonym głosem dziewica.

— Jutro będę mieć szczęście widzenia się z tobą najdroższa panno!.... wielka to łaska dla

więźnia, który od lat już kilku nie zna innego towarzystwa, oprócz oficerów i stróżów więziennych; pozwól niech za ten dowód miłosierdzia ucałuję kraj twej szaty.....

To powiedziawszy dotknął się kraju sukni Anny, która białą wyciągnęła rączkę, mówiąc: do widzenia!

Książe Marcin pochwycił jéj rękę i do ust przycisnął z wyrażeniem głębokiego szacunku, poczem zmieszana dziewica odwróciła się i pobiegła pospiesznie, przez gęstą aleję, ku bocznym drzwiom pałacu.

Młody więzień wróciwszy do swego mieszkania napisał na kartach dziennika pod d. 20 Czerwca 1762 r.

„Spotkałem dziś o godzinie 9éj z rana w ogrodzie córkę komendanta tutejszej twierdzy, Annę Marją hrabiankę Hadik, szczególnym zapewne trafem ta urodziwa panna jest rzeczywistym portretem Anny Wyleżyńskiéj, która z miłości dla mnie wstąpiła dobrowolnie do klasztoru. Widok hrabianki dziwne na mnie sprawił wrażenie, też same prawie oczy i tenże słodki dźwięk głosu jak tamtéj, zaledwie pierwsze wymówiła wyrazy, wstąpiła otucha do mego serca..... mogę też ręczyć śmiało że nie jest dla mnie zupełnie obojętną, bo parę razy spojrzała na mnie tak czule i smutnie, jakby mi chciała wyrazić, że tylko skromność wrodzona zamyka jéj usta, jako też przyrzekła mi przed rozstaniem, że jutro spotka się ze mną w ogrodzie, skoro wybada, jaki jest umysł jéj ojca, w sprawie dotyczącéj się uwolnienia mego. Krótka zanadto była nasza rozmowa, ażebym mógł był przeświadczyć się dobrze o sentymentach hrabianki, domyślam się tylko że jest dobrą jak anioł i że wcale dla niéj nie jestem obcym. Nie wiem zkąd to pochodzi, że od powrotu z ogrodu czuję dziwną niespokojność i rachuję godziny i minuty do jutrzejszego rana...... zapewne to uczucie wypływa z samotności więziennego życia, w którém każda nowa znajomość budzi nadzieję lepszego losu, może też podobieństwo rysów twarzy tych dwóch osób i toż samo imię *Anna* poruszyło mię tak głęboko?..,. nie wiem w prawdzie i nie rozwiążę dziś tej zagadki, ale przeczuwam jakąś ważną odmianę w mym losie, Bóg zaś jeden o tem tylko wiedzieć raczy, jakie będą *sukcessa* i jaki będzie ich koniec?

XIII.

W dniu następnym, Anna Hadik wywiązała się z obietnicy uczynionéj młodemu więźniowi, spotkała go w ogrodzie w rannéj godzinie i powtórzyła wszystkie szczegóły, które poczerpnęła od ojca względem dalszego losu Marcina, wiadomości te jednak nie były wcale zaspakajające. Feldmarszałek Hadik pisał wprawdzie do cesarzowéj, przedstawiając jéj prośbę księcia, ale otrzymał nieprzychylną odpowiedź, w któréj donosił minister, że ponieważ ks. Marcin uwięziony jest w Węgrzech, na mocy zażalenia i prośby ojca i hetmana W. K., zatém cesarzowa jejmość przychyliwszy się raz do żądania interesowanéj strony, nie może cofać swego słowa i dopóty nie uwolni więźnia, dopóki opiekun Marcina, brat zmarłego Miecznika, lub hetman Branicki nie zażąda skrócenia terminu kary, określonego wyrokiem. Jakkolwiek doniesienie Anny nie rokowało księciu prędkiego uwolnienia, każde spotkanie z córką komendanta, miało dla niego urok niewypowiedziany; myśl ta; że jest istota piękna i dobra jak anioł, która czuwa nad nim i zajmuje się jego losem, słodziła mu wszystkie gorycze więziennego życia. W przeciągu dwóch tygodni, kilkatrotnie spotykał się z Anną, która nie ukrywała wcale żywego zajęcia, jakie obudziło w jéj sercu los nieszczęśliwego młodzieńca, owszem okazywała mu zawsze głębokie współczucie, które za każdym razem wlewało ożywczy zdrój pociechy do jego duszy. Łatwo domyśleć się można, że nasz książe Marcin nie mógł oprzeć się długo uroczéj pokusie i po kllku rozmowach z piękną córką komendanta, pokochał ją całą siłą młodéj duszy, która znękana troskami i samotnością, otworzyła się na przyjęcie nowego wrażenia, jak kielich bujnego kwiatu wystawionego na słońce. Ta druga Anna zastąpiła w sercu Marcina miejsce pierwszéj, którą, oddzieloną od świata murem klasztoru, utracił już na zawsze, ale dawne najczulsze wspomnienia odżyły w postaci nowéj oblubienicy, którą wyobraźnia jego otoczyła uroczą aureolą ideału.

W połowie miesiąca lipca, przechadzał się jak za zwyczaj nasz więzień wśród ciemnéj rozłożystéj alei, kiedy usłyszał nagle szelest sukni; odwrócił się pośpiesznie i ujrzał Annę Hadik, która z wdzięcznym uśmiechem wyciągnęła ku niemu drobną rękę i rzekła: dobry dzień książe!

Marcin ucałował z uczuciem dłoń Anny; twarz jego rozjaśniła się nagle, niby smutne oblicze posągu oskrzone promieniami słońca, poczem zawołał w zachwycie:

— Już kilka dni upłynęło od czasu ostatniego naszego spotkania, wierzaj mi *adorable comtesse*, że te dni kilka wydały mi się długie jak wieczność.... rozmyślając o tobie ciągle w samotności mego więzienia, ubolewałem mocno, że nie zakląłem i nie uprosiłem ciebie, ażebyś mię pocieszyła choć jedną literą twéj drogiéj ręki....

— Mnie również było przykro, odrzekła nieśmiałym głosem Anna, że tak długo nie mogłam widzieć się z tobą książe, ale wiesz zapewne, że schadzki nasze nie są z wiadomością i zezwoleniem mych rodziców. Matka moja jest aniołem dobroci, ojciec téż kocha mię niewymownie i jest wielce łagodny, ale dla tego téż właśnie nie chciałabym im przyczyniać zmartwienia, któreby dotknęło ich niezawodnie, skoroby dowiedzieli się niespodzianie, że ich córka odwiedza potajemnie

w ogrodzie młodego księcia, który jest więźniem jéj ojca....

— Tak jest, *adorable comtesse*, odwiedzasz potajemnie więźnia, który jest najmizerniejszym, najnieszczęśliwszym z ludzi, który prześladowany przez własnego ojca, ciężką odnosi karę za chwilowy grzech młodości; sprawiedliwa jest twa obawa.... współczucie bowiem okazywane dla mnie, mogą ludzie za straszny poczytać kryminał.... wybacz mój opiekuńczy aniele, wybacz mi *adorable comtesse*, że z miłości własnéj na tak wielkie wystawiam cię niebezpieczeństwo!....

Mowiąc ostatnie wyrazy, ukląkł Marcin przed Anną, która zarumieniona i drżąca cofnęła się o parę kroków, ale po chwili wzruszona jego błagalną postawą i wejrzeniem, przybliżyła się znów i rzekła:

— Powstań książe i bądź dobréj myśli, nie zapomnę nigdy o tobie i nie opuszczę sposobnéj chwili, w któréj będę mogła powtórzyć mą prośbę ojcu.... on jest dobry i litościwy, nie powątpiewam nawet na chwilę, że wstawi się za tobą do krewnych i wyjedna z czasem uwolnienie... ale nie chciałabym obudzić podejrzenia w jego sercu, zajmując się tak gorąco losem twoim książe!....

Zamilkła na chwilę Anna, powiedziawszy te słowa, jakby namyślała się nad dalszym ciągiem rozmowy, poczem dodała:

— Dla naszego, to jest dla twego własnego dobra książe, potrzeba nam zaniechać tych spotkań w ogrodzie i rozłączyć się na dłuższy przeciąg czasu, a mam nadzieję, że uzyskam dla mego księcia, jeżeli nie zupełną wolność, to przynajmniéj oswobodzenie z celi więzienia z dozwoleniem zamieszkania w mieście i z wstępem do naszego domu....

— O! gdyby te nadzieje mogły się urzeczywistnić.... za wielkie byłoby to dla mnie szczęście *adorable comtesse*!.... Ale cóż mówię niebaczny, mógłżem się spodziewać osadzony w Mągaczu, w ciemném i bezdusznéṁ więzieniu, że przeniósłszy się do Budy, znajdę w téj twierdzy anioła, który wleje otuchę do mego serca i tak wielką pokrzepi siłą, że uśmiechnie mi się jeszcze życie w całym blasku młodości słońca.

— Pragnę ci wynagrodzić książe, wszystkie dawne cierpienia i powrócić spokój i wesele.... ale za konieczny podaję warunek, ażebyśmy rozłączyli się do pewnego czasu, nadto, ażebyś książe nie tracił odwagi i serca, a pamiętał, że jest osoba, która ciągle myśli o twoim losie.

— Żaden inny, jeno twój obraz, jest przytomny dniem i nocą przed memi oczami, a porównywając przeszłe z obecném życiem, więzienie dzisiejsze rajem mi się wydaje. Mągacz dla mnie był prawdziwém piekłem, ludzie tam istne szatany, które uwzięły się na moją zgubę; nie znajdę słów *adorable comtesse*, do opisania srogości mego więzienia w Mągaczu, dość powiedzieć, że jeden hrabia tam skazany, nie mogąc przenieść mąk, których doświadczał w tém okropném miejscu, zakończył życie trucizną, którego przykład naśladować już chciałem, ale modlitwa do Najświętszéj Marji Panny méj Orędowniczki, odegnała odemnie pokusę i oswobodziła mię z szatańskich szponów tamecznych oprawców.

Anna słysząc opowiadanie księcia Marcina, nie mogła powstrzymać łez potoku, który wytrysnął z oczów i obficie zrosił jéj lica.

— Nie płacz, aniele, nad moją niedolą, zawołał ks. Marcin, ściskając dłoń Anny, każda łza twoja jest droższą od wszystkich pereł świata, a ja niegodny jestem tak wielkiéj ofiary, ale mam jedną prośbę do ciebie, *adorable comtesse*, nie odmawiaj mi téj pociechy i pisuj do mnie choć raz na dni kilka, a nie mając szczęścia spotykać się z tobą w ogrodzie, niech widokiem przynajmniéj twego pisma nasycę mój wzrok łaknący.

— Zgoda mój książe; wierna mi Urszula wykona tę przysługę zręcznie i sumiennie.... co trzeci dzień najpóźniéj możesz spodziewać się wiadomości odemnie; tymczasem muszę cię pożegnać....

— Zatrzymaj się jeszcze choć jedną chwilkę, *adorable comtesse!* zawołał ze smutkiem więzień, nie mając nadziei oglądania cię prędko, pragnę ci powtórzyć raz jeszcze, że wdzięczność za tyle łask i dobrodziejstw dla mnie okazanych, trwać będzie długo w mém sercu, jak życie....

Nagle rozmowę i dalsze oświadczenie księcia przerwał głos Urszuli, która przybiegła prędko ostrzedz hrabiankę, że matka dostrzegła jéj nieobecność i oczekuje na nią ze śniadaniem.

Nie mógł Marcin ukryć niezadowolenia swego przed Urszulą, z powodu jéj niespodziewanego przyjścia, jakkolwiek wierna służąca uczyniła ten krok stanowczy, jedynie z przywiązania do swéj panny.

Anna Hadik pożegnała skinieniem głowy młodzieńca i pobiegła wraz ze służącą do pokoju matki.

XIV.

Minęło lato i nastała dżdżysta jesienna pora, Marcin i Anna od czasu opisanéj po wyżéj rozmowy, nie spotykali się wcale w ogrodzie, ale porozumiewali tylko za pomocą listów. Usiłowania Anny w celu złagodzenia losu więźnia, dotąd okazały się bezskuteczne, bolała więc nad tém srodze, a każdy list Marcina, obfitemi zraszała łzami. Wesoła i ożywiona twarz Anny, zasępiła się teraz chmurą troski, a tak widoczna zmiana, nie mogła uniknąć bacznego wzroku matki, pani Hadik, która domyślała się grożącego córce nieszczęścia, nie wiedząc jeszcze z jakiéj strony ma spodziewać się burzy.

W późnéj już jesieni, około godziny jedenastéj z rana, siedziała Anna Hadik w panieńskiéj swéj komnacie, ukończywszy fryzurę

pięknéj główki, którą oparła na dłoni; list leżał na jéj kolanach i rzewnemi zraszała go łzami.

Matka weszła niepostrzeżenie do pokoju córki, a widząc jéj ciężką boleść, wzniosła oczy z westchnieniem i załamała ręce, poczem zbliżyła się na palcach do jéj krzesła i pocałowała ją w czoło.

— Ach!.... to ty kochana mamo?... zawołała strwożona Anna, a rumieniec wstydu oblał jéj blade tęschnotą lica.

— Nie trwoż się dziecię moje, ale powiedz mi przyczynę twego smutku, podzielę go chętnie z tobą, a może znajdę nań jakie skuteczne lekarstwo....

— Najmilsza matko! wybacz mi, że taiłam dotąd przed tobą mą boleść.... rzekła Anna spoglądając na zwiniętą kartkę listu więźnia, poczem dodała: dziwne zrządzenie losu nawiedziło mię ogromem troski, której nie przewidywałam nigdy, a zatém nie mogłam ci wyznać cierpienia, którego dotąd nie znałam a nawet nie domyślałam się wcale!

— Ty kochasz Anno?

— O! kocham matko.... ale dawniéj kochałam tylko ciebie, ojca i rodzinę, byłam swobodną i wesołą, bo ani mnie ani wam żadne nie groziło nieszczęście, więc myślałam o stroju i zabawach, a nie znałam innéj troski, prócz tych tylko, które doświadczałam chwilowo z powodu psot i figlów mego brata. Dziś zupełnie innych doznaję wrażeń, odkąd poznałam nieszczęśliwego więźnia, którego los droga matko godzien jest litości....

— Ks. Marcin Lubomirski jest zapewne tym więźniem? zawołała z niespokojnością pani Hadik, mierząc badawczym wzrokiem córkę.

— Tak matko, los tego nieszczęśliwego obchodzi mię tak gorąco, że nie doznam na chwilę dawnego wesela ani też spokoju, dopóki nie dowiem się o polepszeniu jego losu....

— Ależ drogie dziecię moje, jakim sposobem, powiedz, ten młody książe, wygnany z kraju, obudził tak wielkie współczucie w tobie, córce feldmarszałka hr. Hadika?.... czyż zastanowiłaś się nad tém, że pomiędzy wami nic nigdy wspólnego być nie może, on bowiem jest wygnańcem i więźniem, a jak przeszłość tak i przyszłość jego bardzo jest wątpliwą....

— O, nie sądź tak matko... on jest nieszczęśliwym, ale prawym i zacnym młodzieńcem, więc miłuje prawdę a nienawidzi fałszu. Sam mi opowiedział swoje przygody, a przewinił w tém tylko, że miłował wiernie i stale, nie zadrżał przed groźbą najsroższéj kary i nie wyrzekł się przedmiotu swego kochania....

— On sam opowiadał ci o tém Anno? rzekła wstrząsając smutnie głową pani Hadik i dodała: mój Boże, nie domyślałam się wcale, że moja Anna, córka feldmarszałka Hadika, tak rozmawia swobodnie z młodym więźniem o jego romansowych przygodach!...

— Wyznaję, że zawiniłam srodze, skoro bez wiedzy twojéj, kochana matko, spotykałam w ogrodzie księcia Marcina, który mi opowiedział swe nieszczęście i prosił o instancję do ojca.

— Wybaczę ci Anno ten krok nierozważny, ale zaklinam na miłość rodzicielską, porzuć tę myśl fatalną opiekowania się człowiekiem, z którym wszelki stosunek może ściągnąć na dom nasz niesławę, a nawet utratę łaski dworu cesarzowéj jejmości.

— Nie bądź tak srogą najmilsza matko! zawołała Anna, składając dłonie z błagalném wejrzeniem, los jego nie przestanie nigdy obchodzić mię najgoręcéj, obraz Marcina i jego nieszczęść, staje zawsze przed memi oczami, napróżno starałabym się usunąć go z méj pamięci, bo on jak cień mój, towarzyszy mi wszędzie...

— Biedne dziecię! pokochałaś młodego więźnia, który tu znany jest tylko z imienia, a Bóg sam wiedzieć raczy, jaki był zawód jego i jaki czeka go koniec.

— Ród jego znany jest wszędzie, po śmierci ojca został dziedzicem ogromnéj fortuny, a na mocy testamentu, powinien być dawno oswobodzony z więzienia; jedynie intrygi krewnych, złość i zawiść ludzka, pastwi się nad nim tak niesprawiedliwie!

— Tak on sam ci powiada i ty wierzysz temu drogie dziecię.... nie znasz jeszcze ludzi i błahe ich słowa bierzesz za szczerą prawdę.

— Pokazał mi listy wiarogodnych osób, które piszą do niego z Polski.... te świadczą o prawdzie słów jego, ojciec mój może zażądać od niego okazania tych dowodów, a wtedy przekonacie się niewątpliwie, że ks. Lubomirski nie powiedział fałszu, ani też żadnéj nie popełnił zbrodni, którąby skaziła sławę jego imienia.

— Dobrze więc moje dziecię, pomówię o tém z twém ojcem, a nawet wstawię się za protegowanym przez ciebie więźniem, rzekła matka, patrząc z litością na smutną i zbolałą twarz córki; poczém dodała tuląc jéj głowę do piersi: uspokój się droga Anno, znasz dobrze serca twych rodziców, więc zaufaj ich przywiązaniu i bądź przekonaną, że jakikolwiek wyrok wyda ojciec, zgadzać się on będzie z myślą twojego dobra.

Powiedziawszy ostatnie słowa, pani Hadik opuściła komnatę córki i udała się do pokojów męża, który w téj chwili siedział przy biórku i przeglądał papiery dotyczące się jego urzędu.

Feldmarszałek Hadik liczył przeszło pięćdziesiąt lat wieku, był wysokiego wzrostu, miał rysy twarzy ściągłe, wyraz poważny, wzrok czarnych oczów badawczy i przenikliwy, świadczył wymownie o zdolnościach człowieka, przywykłego do traktowania ważnych spraw kraju. Hrabia spostrzegłszy wchodzącą żonę w niezwyczajnéj porze, okazał zadziwienie i zapytał:

— Co mi powiesz kochana żono?

— Mam pomówić o interesie wielkiéj wa-

wielkiéj wagi, dotyczy on bowiem losu naszéj starszéj córki, ale zaklinam cię najpierwéj, nie unoś się gniewem i wysłuchaj cierpliwie mego opowiadania....

— Co znaczy ta przemowa? zapytał z niespokojnością hrabia.

— Dowiesz się natychmiast.... wszystko ci opowiem.

Hrabia oparł głowę na dłoni i wysłuchał długiego opowiadania żony, która powtórzyła mu całą rozmowę i zakończyła temi słowy:

— Nie ma już żadnéj wątpliwości, że Anna nasza pokochała się w tym księciu; na wszystkie moje przestrogi, odpowiedziała płaczem i prośbami o litość nad biednym więźniem, który według jéj zeznań, ma być ofiarą nieprzyjaznego losu i intrygi krewnych, którzy są w posiadaniu ogromnéj jego fortuny!

Feldmarszałek słuchając opowiadania żony, okazał parę razy zdziwienie, kiedy zaś rzecz swą zakończyła, odpowiedział stanowczym głosem:

— Wielkie to jest nieszczęście i trzeba zapobiedz wcześnie smutnym, wyniknąć ztąd mogącym następstwom; nie dozwolę nigdy ażeby córka moja wyszła za człowieka, który był skazany na lat piętnaście więzienia, a który to wyrok sama jejmość cesarzowa i królowa nasza, potwierdziła podpisem swéj ręki. Odtąd ściślejszą strażą każę go otoczyć i pod najsroższą odpowiedzialnością polecę oficerom, ażeby pilną dawali baczność na wszelkie stosunki i korespondencje księcia, który korzystał z méj powolności i nadużył mego zaufania.

— Boże mój! czy zastanowiłeś się mężu, jak srodze to postanowienie twoje dotknie nieszczęśliwą Annę, która dziś już cierpi tak wiele z niespokojności nad jego losem?

— Czas uspokoi tę nierozważną i szaloną miłość.... popłacze jeszcze zapewne i zapomni o nim, skoro go ani widzieć, ani odbierać listów od niego nie będzie....

— Boję się, znając żywność jéj uczuć, by gwałt zadany jéj sercu, nie stał się powodem nie uleczalnego cierpienia, któreby grób wykopało naszéj córce....

— Nikt nie umiera dla tak szalonéj miłości.... ale powtarzam ci, że postanowienie moje jest niezłomne. Kocham Annę i pragnę jéj szczęścia, lecz wolałbym widzieć ją w grobie, niż żoną bannity, który, nie wiemy wcale, za jak haniebne skazany został występki i jak wielka ztąd na dom Hadików mogłaby spaść infamja.

— Nie przeczę twym słowom mężu i bądź pewien, że niemniéj od ciebie dbałą jestem o sławę naszego domu, ależ na Boga, nie potępiajmy człowieka, o którego przeszłości nic dotąd pewnego jeszcze nie wiemy, czyż nie właściwiéj poczniemy, jeżeli zasięgniemy pierwéj dokładną wiadomość od znanych i wiarogodnych osób?

— Wiadomość dokładną o postępkach, położeniu towarzyskiém i losie młodego ks. Lubomirskiego, będę mieć wkrótce, pisałem bowiem w tym celu do naszego ambasadora w Warszawie i do hetmana Branickiego, ale choćbym najkorzystniejszą dla więźnia otrzymał odpowiedź, jestem przeciwny téj fatalnéj miłości naszéj córki. Anna tak młoda i piękna, nie potrzebuje szukać związku z cudzoziemcem, którego awanturniczy żywot, nie może być dla niéj rękojmią szczęścia, znajdzie przyzwoitą i godną jéj urodzenia partję we własnym kraju.

— Lękam się zanieść jéj tę odpowiedź, ona pokochała go całém sercem i może nie przeżyje tak srogiego ciosu!

— Owszem pociesz Annę i powiedz jéj, że zajmuję się losem księcia, pisałem w tym celu do najjaśniejszéj cesarzowéj i do wysokich dygnitarzy Rzeczypospolitéj polskiéj, teraz zaś z podwójną usilnością starać się będę, ażeby mu uzyskać uwolnienie z więzienia i powrót do ojczyzny, ale też za to żądam od niéj, ażeby się stała powolną woli ojca i wyrzekła się szalonéj miłości, która córce feldmarszałka Hadika nie przystoi wcale.

Na tém zakończyła się rozmowa małżonków; pani Hadik znając charakter męża, nie nalegała na niego więcéj o przychylenie się do widoków córki, co w obecnych okolicznościach uważała za rzecz niemożebną, cieszyła się nawet w duszy, że przynajmniéj tę pocieszającą może jéj zanieść wiadomość, że feldmarszałek myśli o losie więźnia i stara się o jego uwolnienie.

XV.

Smutnie pędził ks. Marcin długie zimowe wieczory w celi swego więzienia; nie odbierając żadnéj wiadomości od Anny Hadik, domyślał się, że jego potajemna korespondencja musiała się dostać do rąk rodziców, tak więc pozbawiony został jedynéj ostatniéj pociechy i nadziei, którą mu rokował stosunek jego z córką komendanta.

Wieczorną porą w miesiącu Grudniu, siedział więzień zajęty czytaniem, przy bladém świetle woskowéj świecy, kiedy drzwi się rozwarły i ujrzał na progu wysoką postać zakonnika, w bernardyńskim ubiorze, ale wielkie było jego zdziwienie, skoro gość ów przemówił po polsku: „niech będzie Jezus Chrystus pochwalony.“ „Na wieki wieków,“ odpowiedział książe i poskoczył z rozjaśnioną twarzą ku zakonnikowi:

— Ojciec Atanazy, zawołał, jeżeli wzrok mię nie myli?

— On sam do usług W. Ks. Mości, kapelan ks. Franciszka Lubomirskiego, obecnie Miecznika W. K.

— Kapelan stryja i przyjaciel ś. p. mego ojca!....

— Tak jest, sługa ś. p. ojca W. Ks. Mości, wielkiego benefaktora naszego zakonu.

Wymieniwszy słów kilka z zakonnikiem, nie posiadał się książe Marcin z radości i rzucił się w objęcia znajomego rodaka kapłana; od roku już bowiem nie słyszał ojczystego języka, nadto niespodziewane zjawienie tak pożądanego gościa, było dla niego najpomyślniejszą wróżbą. Widok ojca Atanazego wywołał w umyśle więźnia tysiące wspomnień młodości, które w téj chwili czarodziejskiém otoczyły go kołem, albowiem z postacią bernardyna, splatały się najpierwsze wrażenia jego lat dziecinnych; w domu ojca, lub stryja, przysłuchiwał się nieraz po całych godzinach opowiadaniom i żartom rubasznego, ale często dowcipnego i jednostajnie wesołego księdza. Ojciec Atanazy był w całém znaczeniu człowiekiem czynu, żadna gałęź gospodarstwa nie była mu obcą, a jeździł konno tak wybornie, że najlepszy z masztalerzy książąt Lubomirskich, nie mógł mu sprostać; pierwsze lekcje konnéj jazdy, odbierał młody Marcin pod okiem księdza bernardyna, który przytém towarzyszył mu często na przechadzkach, mianowicie do lasu, gdzie zaznajamiał go z nazwiskami drzew rozmaitych i wykładał ich użytek, albowiem sumienny zakonnik, korzystał z każdéj okoliczności, w któréj mógł zbogacić umysł młodzieńca.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Wiadomości Literackie.

Dziwy świata niewidzialnego, (*Les Merveilles du monde invisible, par W. de Fonvielle. Paris Hachette et comp. 1 vol. in 12o*). Cena 2 franki.

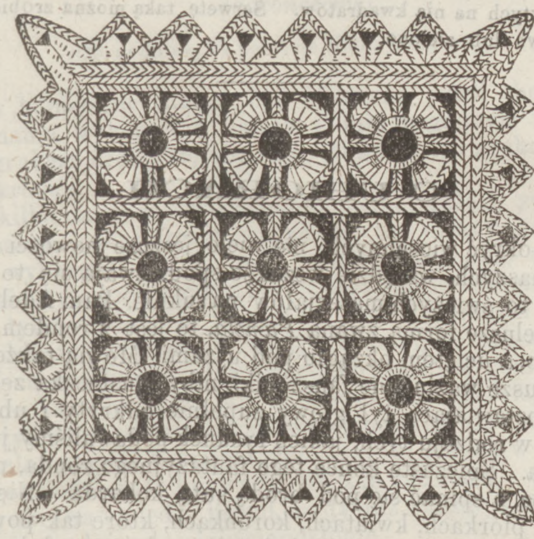
W dziełku tém p. de Fonvielle, opisuje nam świat niewidzialny, istoty organiczne nieskończenie małe, w takich kształtach, w jakich je nam powiększające szkła drobnowidza przedstawiają. Autor wykazuje cuda ukryte w kropli wody, w plamce krwistéj, w pyłku kwiatowym, lub w proszku ze skrzydeł motyla. Ileż tu nowych spostrzeżeń dostarczyły naukom przyrodzonym szkła powiększające!... Nowe objawy życia, starannie dotąd ukryte z powodu małości swojéj, ukazują się nagle w całéj rzeczywistości, pod soczewką mikroskopu. Żyjątka wymoczkami zwane, których tysiące dopiero razem zebrane, wyrównywają wielkości łebka od szpilki, ukazują się pod drobnowidzem jako doskonałe w swoim rodzaju organizmy posiadające odrębny zupełnie czyli indywidualny żywot. Potęga i wszechmocność Stwórcy objawia się jeszcze cudowniéj w malarskich rzeczach, niż w wielkich. P. de Fonvielle potrafił w dziełku swojém obudzić w czytelniku interes dla studjów nad mikroskopem, wskazując zarazem najważniejsze sposoby użycia tego narzędzia. Autor wykazuje w trzech królestwach natury to jest we zwierzęcém, roślinném i mineralném, jakie bogactwa szkła powiększające są zdolne wykryć. Udziela wyniki najważniejsze, do jakich doszła nauka mikroskopji, wykazując zarazem oczywistość rezultatów, jakie ta umiejętność w przyszłości osiągnąć jest zdolna. Liczne drzeworyty w tekscie, doskonale odbite uzmysłowiają przystęgny wykład, któremu zarzucićbyśmy mogli tylko zbyteczną napuszystość stylu i przesadę w uwielbieniu dla owych nieskończenie małych istot w przyrodzie. Cena przystępna dziełka i prawdziwie użyteczny jego zakres, powinnyby mu zjednać licznych czytelników.

Lekarz ciała i duszy, (*Le Médecin du corps et de l'ame par A. Vermeil. Lausanne et Paris. 1866*). Cena 3 franki 75 centymów.

Celem tego dziełka, jest zbicie niewiary. Autor zajmuje się duszą, a nie ciałem, lecz rady swoje i nauki wkłada w usta lekarza, którego autorytet wydaje mu się wielkim w obec chorego. Bezwątpienia, lekarzowi nieraz zdarzyć się może chwila sposobna, w któréj łatwo mu podać choremu słówko pociechy i nadziei. W walce z cierpieniem, człowiek czuje większą potrzebę zbliżenia się do Boga. Przy nadchodzącéj śmierci, duma utraca swą pewność, zwątpienie w wierze staje się nieznośną obawą, ucho więc chorego chętnie się skłania ku naukom, które dotąd znajdowały tylko jałowy umysł na swe przyjęcie, lub rozbijały się o twardą epokę szyderstwa. Pan Vermeil słsznie mniema, że pobożność żywa, połączona u lekarza z talentem i nauką, może oddać najważniejsze usługi. Kilka dobrze użytych wyrazów wymówionych we właściwym czasie, wiele mogą zrobić dobrego choremu, dla którego moralne następstwa mogą być wówczas nader ważne. Lecz podobne dzieło wymaga dużo rozsądku i taktu w postępowaniu, o czém autor całkiem zapomniał. W książce jego, lekarz rozprawia ze swoim pacjentem o rozmaitych punktach spornych, w różnych wyznaniach chrześcijańskich, jak o grzechu pierworodnym, o przeznaczeniu, o wieczności, kar i t. d. P. Vermeil chybia tu nawet celu, nawrócenia rozumowym sposobem niewierzących, wprowadzając ich od razu, do wyników, do których, jak sam powiada, doszedł drogą rozumowania, dopiero po długoletnich studjach nad pismem świętém.

St. Ch.

Dodatek do Zeszytu VIII Kółka Domowego.



Kwadrat szydełkowy.

Kwadraty takie łączą się i tworzą serwetę do przykrycia stołu.

Przygotuj 9 gwiazdek, do zrobienia ich potrzeba najpierw zrobić łańcuszek o 9 oczkach i połączyć oba końce aby utworzyć kółeczko, na nim umieścić ściśle robiąc słupków 30, na tych 30 oczkach słupkowych zrobisz cztery promienie, najprzód 4 oczka łańcuszkowe 4 słupki 4 oczka łańcuszkowe przyczep do poprzedzającego rzędu, teraz zrób łańcuszek z 5 oczek, a że musisz wrócić z nitką i szydełkiem, więc zostaw piąte górne łańcuszkowe oczko które ci będzie potrzebne do czepiania gwiazdki a na 4 łańcuszkowych zrób matowych małych 4 oczek. Teraz drugi promień gwiazdki jak pierwszy, 4 oczka łańcuszkowe 4 słupki 4 łańcuszkowe i znów 5 i 4 matowe małe, przy czwartym promieniu zaciągnij koniec nitki, żeby się nie spruła robota i nitkę odetnij; tym sposobem robią się wszystkie gwiazdki. Kiedy będą gotowe, weź jedną z nich zaczep szydełkiem piąte oczko łańcuszkowe o którém wyżéj, zrób łańcuszek o 15 oczkach przyczep do drugiego piątego łańcuszkowego oczka, daléj łańcuszek o 12 oczkach, weź drugą gwiazdkę przyczep do piątgo znów 12 oczek łańcuszkowych, weź trzecią gwiazdkę przyczep zrób łańcuszek o 15 oczkach, przyczep do drugiego piątego oczka u téj saméj gwiazdki. Dla dokładniejszego zrozumienia roboty, nadmieniamy że łańcuszki nie maią równéj ilości oczek, z przyczyny że kantowe są zaokrąglone. Rób tak daléj dokoła i kwadrat złącz, na tym rzędzie zrób 2 rzędy małych matowych oczek, na tym ostatnim rzędzie źrób jedno oczko matowe drugie małe słupkowe, trzecie wyższe słupkowe 7 łańcuszkowych przyczep do poprzedzaiącego rzędu opuściwszy 2 oczka, znów 1 słupek wyższy drugi niższy trzecie i oczko matowe słupek niższy wyższy 7 łańcuszkowych, a będziesz mieć dokoła spiczaste zęby, które w końcu obrobisz jednym rzędem matowych oczek. Już ci tylko pozostaje poszczepiać we środku gwiazdki w połowie 12 łańcuszkowych oczek; wśrodek kwadrata włóż szydełko, zrób łańcuszek o 10 oczkach zaczep na tamte piąte którém łączysz gwiazdki 16 oczek łańcuszkowych, znów przyczep następną gwiazdkę, znów 16 przyczep i 10 przyczep do kwadratu, takich poprzecznych zrobisz 2 rzędy, a dwa znów jak widzisz na rysunku tworzące małe kwadraciki, robiąc te drugie dwa rzędy, przyczepiaj do poprzecznych żeby się łączyły kształtnie. Mając takie kwadraty gotowe poszczepiaj cienką nitką

jedne z drugiemi łącząc spiczaste zęby, a utworzą mniejszą lub większą serwetę, stosownie do ilości użytych na nią kwadratów. Serwetę taką można zrobić z szarych nici i podszyć pąsowo lub zielono.

O UBIORACH.

Wyjąwszy okryć wiosennych, nie wiele jeszcze nowości sprowadzono do magazynów naszych, wszędzie wszakże spodziewają się to nowych fasonów kapeluszy, to świeżych materjałów na suknie. Pani Adela Hoffmanowa wyrabia już kapelusze formą zwaną *Pamela*, to jest z rondem zachodzącem głęboko na czoło, a uciętém okrągło pod uszami. Mówią także że będą używane jako kapelusze wąziuchne fanszoniki, niby chusteczka zębem na czoło zachodząca, pozostawiająca tył głowy zupełnie odkryty i ubrany wysoko spiętym kokiem, w rodzaju tych, jakich rysunek podawaliśmy już w dodatku do naszego pisma. Spiczaste końce tego fantazyjnego ronda, mają pozostawiać uszy odkryte, a spinać się pod brodą sutą kokardą. Nie powtarzamy już szczegółów o piórkach, kwiatach, koronkach, które tak powabnie zdobią kapelusiki wspomnione, mogące być użyte tylko na koncerta lub strojne wizyty, nie stosownie jednak według nas, na ulicę. Oprócz tych fasonów nie bardzo jeszcze wprowadzonych w użycie, zaczynają się pojawiać lżejsze kapelusze z okrągło, gęsto fałdami prążkowaną niby welon, główką. Oglądałyśmy taki jeden przeznaczony dla młodziuchnéj mężatki, w którym bufki z białego jedwabnego tiulu przeplatane były białą konwalią. Drugi, z białéj krepy miał główkę ułożoną w ukośne fałdy, podobne do tych które się widzieć dają na formach blaszanych do galaret. Mimo tego nie bardzo korzystnego podobieństwa, był bardzo elegancki ze swém ubraniem z róż białych i różowych.

Ubiorki na głowę zawsze naśladują greckie opaski i tak np. widziałyśmy jeden prześliczny złożony z opaski z astrów jasno fiałkowych, suto kryształową rosą pokrytych, których efekt przy świetle był nie zrównany, daléj przez środek głowy szło drugie przepięcie z białéj blondyny spadającéj po dwóch bokach w kształcie końców i z jednéj strony przepiętéj poniżéj ucha różą białą, z drugiej aksamitem równie pięknego jak astry koloru. Krój czapeczków zwany katalańskim także bardzo używany. Jest to denko podługowate koronkowe idące do czoła i spuszczone na tył głowy; do tego przepięcia z kwiatów lub wstążek które już dawno opisywaliśmy,

Teraz co do okryć: najwięcéj sprowadzono paletotów wciętych z ogromnemi kieszeniami, które przypominają niezmiernie krój męzkiego odzienia. Przy nich guziki duże jak miedziana moneta 3 lub 5 kopiejkowa, są prześlicznemi wyrobami z kości słoniowéj, lawy, lub perłowéj massy. W materjałach angielskich najwięcéj na te paletoty używanych, oryginalna pstrocizna widzieć się daje; nitki żółte pąsowe, czarne mieszane razem, do tego wypustka biała, guziki zaś wyrzynane z kości słoniowéj na tle czarném. Inny paletot był z równie grubego materjału, przerabianego czarno z białém, miał wyłogi z czarnéj jedwabnéj materji obszyte frendzlą, takiż kołnierz z dużemi spiczastemi końcami, guziki zaś czarne z pięknie rzeźbionemi kameami.

O HODOWANIU MELONÓW.

(dokończenie).

(Ob. dodatek, VI poszycie Kółka Domowego).

Melony koniecznie muszą być obcinane, jeżeli chcemy mieć piękne owoce; obcinanie wykonywać należy w dniu pogodnym i suchym; gałęzie silniejsze i grubsze dłużéj się obcinają, (w miarę ich grubości i siły), gałęzie zaś słabsze króciéj.

Jeżeli kilka owoców zawiąże się na jednéj gałęzi, zostawić jeden najsilniejszy i nalepiéj ukształcony, chcąc aby był piękny; gdyż dosyć jest aby jedna gałęź wykarmiła jeden owoc. Co dwa tygodnie oczyszczać krzaki, obcinaniem nieużytecznych gałęzi; owoce krzywe i nieforemne także obcinać, zostawiając tylko z dobrvm kształtem, jeżeli zawiązki melonów żółkną i odpadają, dobrze jest dodać do wody używanéj do polewania trochę saletry dla wzmocnienia krzaku. Jak owoc podrośnie do połowy, podłożyć pod niego ukośnie kawałek szkła lub dachówki, aby nie uległ zgniliźnie. Po obcinaniu, czyli oczyszczaniu, krzaków melonowych, dawać im więcéj powietrza, i pozwalać używać promieni słonecznych; jednak w razie zbytecznych upałów, w godzinach południowych, troszkę zacieniać. Owoc póki rośnie, powinien się ukrywać między liśćmi, a gdy już stanie w miarze swego wzrostu i zbliża się do dojrzałości liście odsłonić.

Kiedy owoc zacznie żółknąć, odjąc go należy od łodygi, aby dojrzał leżąc przez kilka dni, bo gdy się na gruncie przestoi, traci smak. Inspekta powinny być zawsze opielone i czyste; a jeżeli ziemia twarda i w skutek polewania zbita, lub zielonym mchem porosła, natychmiast ją spólchniać ostrożnie, bez naruszenia korzeni.

Wreszcie co do utrzymywania jednostajnego ciepła w inspekcie i innych warunków te są te same, jak się powiedziało w innéem miejscu o zakładaniu inspektów.

Melony nie lubią zbytniéj wilgoci i dla tego polewać je w koniecznéj tylko potrzebie, gdy listki więdnąć zaczynają, albo ziemia na cal okaże się suchą. Polewać wodą letnią, nie przez sitko jak jest zwyczaj, ale rurką konewki, z ostrożnością aby woda niedochodziła do saméj łodygi, od tego bowiem korzeń ulega zgniliźnie, cały inspekt polać przez sitko dla odświerzerzenia liści.

Gdy gałęzie melonowe cały inspekt zapełnią, można skrzynię podnieść na trzy cale wysoko, oprzeć ją na cegłach, gałęzie zaś wypuścić, aby swobodnie się rozwijały. Lecz to podnoszenie skrzyni ma być dopiero czynione wtedy gdy już ciepło jest ustalone, co może mieć miejsce w końcu Czerwca lub początku Lipca. Potem można i okna zupełnie odjąć, a owoce dojrzewające przykryć szklannemi dzwonami. Jeżeli lato zimne i mokre, lepiéj okien nie zdejmować, a dawać wiele powietrza; przez luftowanie.

Chcąc mieć melony rańsze i późniejsze można je zasiewać od Stycznia aż do Maja.

W okolicach cieplejszych, melony mogą być utrzymywane bez inspektów na otwartem powietrzu, lecz należy zachować następujące warunki: 1o Zasiewać gatunki melonów wczesnych, flance muszą być pierwéj wypielęgnowane w inspekcie, i wtedy dopiero wysadzone na grunt, kiedy niema żadnéj obawy zimna; 2o zagony robić z takiéj ziemi jaką lubią melony, w miejscu wystawionéem na południe, i zasłoniętém od zimnych wiatrów; 3o w miejscu gdzie będą zasadzone flance, wykopać dół na łokieć przynajmniéj w kwadrat, nałożyć nawozem końskim świeżym, ciepłym, nasypać

ziemi i tam młode flance zasadzić. Gdy owoce wyrosną, każdy nakryć kloszem szklannym, a takie melony kiedy się udadzą, są nierównie smaczniejsze jak wychowane w inspekcie.

Nasienie melonów im jest starsze, tem lepsze, nie powinno przechodzić lat dziesięciu.

J. Poznański,
Ogrodnik z zakładu braci Hozer.

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

Pieczeń cielęca ze śmietaną.

Piecze się pieczeń cielęca jak zwyczajnie i chlebém obsypuje, osobno zaś smaży się szczypiorek w maśle, gdzie się kładą grzyby, jeszcze się smażą; śmietanę mieć w pogotowiu, wbić do niéj żółtka, wlać do szczypiorku podsadzić dobrze; pieczeń prosto z rożna ponadkrawać w zraziki i oblewać tym sosem.

Zrazy z cielęciny.

Wziąść trzy części cielęciny, czwartą łoju cielęcego i wieprzowego z nerki z cebulką obraną posiekać to wszystko, a potem utłuc na massę w mozdzierzu. Wziąść trochę masła na miskę, rozrobić z trzema żółtkami tak aby jak piana było, mieć także ze trzech jaj jajecznicę z trybulką rzadko wysmażoną i wystudzoną i z bułki pszennéj ośródek w mleku słodkim namoczony i wyciśniony; drobniuteńko go posiekać, z powyższemi razem ingrediencjami, na misce dobrze rozrobić i wymięszać, dodać także soli i kwiatu muszkatołowego; taką massę rozciągnąć na podługowatych zrazach cielęciny, których brzegi posmarować białkami i pozwijać, potem ułożyć w rądlu, dodać cebuli krajanéj, masła, tak ustawić na węgle i dopiero na dogotowaniu podsypać trochę mąki, polać rosołem i włożyć skórki cytrynowéj drobno usiekanéj, a gdy się z tém wszystkiém dobrze wysadzą dać na stół.

Ryż hiszpański.

Pół funta ryżu obciągnąć w wodzie, wymyć należycie i ugotować potem w półkwarcie wina czerwonego, dodawszy masła młodego wypłukanego łyżkę dobrą; ryż tak nasypko ugotowany ułożyć na półmisku, w środek obciągnionych jabłek jak na kompót tyle aby go napełnić, przesypując trochę cukrem z cynamonem; na wierzchu tak posypać aby gdy półmisek w piec pójdzie glaserowanie na całym stanęło, gorąco dać na stół.

Bulion z mięsa wołowego.

Pół wołu jedno cielę bez nóg, gęsi 4, kaczek 4, zajęcy 4, kapłonów 3, pietruszki garncy 4 obranéj, selerów garniec 1, galarepy 10 sztuk, marchwi garniec 1; gdy się mięso gotuje więcéj jak godzinę, dopiero te jarzyny wsypać, a gdy mięso dobrze zmięknie, włożyć ze dwa wianki grzybów, liści bobkowych pieprzu i ziela angielskiego po garści dobréj, trochę rozmarynu i tak wygotować podług zwyczaju, a jak się już przecedzi i jest na dogotowaniu skrobanéj gałki muszkatołowéj, kwiatu muszkatołowego nie tłuczonego wziąść, i wsypać do tego buljonu, dosmażyć i wlać w rądle wysmarowane masłem.
